

Bazie



WŁADYSŁAW ORKAN

PLANETY

Bazie

W kotlinie górskiej rozlewają się promienie słoneczne jasną białością wiosennego dnia. Cała natura świeża, z pobrukanej szaty śnieżnej rozodziata, kąpie się w tych promieniach i suszy w lekkim podmuchu wietrzynym, falisto płynącym od białych, zimnych szczytów.

Gdzieniedzie w głębokich potokach widnieją szare płyty niestajanego śniegu, lecz gęściej czerwienią się na wzgórkach słonecznych świeżo zorane zagony.

Cała ziemia wygrzewa się rozkosznie do słońca, które w białej pełni płynie ponad szczytami...

W stromej uboczy skrył się w półcieniu szary wrąb, a przylaski czarne i jałowce tulą się koło niego, jak potracone stada owiec...

Doliną spływającej rozutki rozścieliła się cała wioska: Osiedla mniejsze i większe, otoczone sadami, a potracone rzadko, jak gniazda skowroncze na ugorze.

Spokój we wsi i cisza... Tylko w naturze widać wszędzie ciekawe oczy, niby oczy chłopięcia, które po długim, ciężkim śnie budzi się nagle w nieznannej okolicy. Wszystko patrzy. Każda trawka wychyli się ku tobie ciekawym spojrzeniem... Gdzie zajdziesz — wszędzie jesteś na jasnym widoku rozbudzonej natury... Gdzie spojrzysz — oczy... same oczy.

Chwilami zda się, że zleniwiła natura przeciera je po długim spaniu zimowem i napowrót chce się do snu ułożyć... Zimno, płynące od szczytów rzadkim powiewem, odrętwia jej nerwy... Podmucha zachodni huśta, kołysze, usypia...

Powoli dyszy ziemia omdlała piersią i leniwie poziewa... A każdy oddech mgłą się unosi, a każdy poziew ciepłymi oparami — ku niebu...

Kwietnia niedziela — boży dzień... Pierwsza niedziela wiosny w krainie skalnych kęp i pustych ugorów. Toż wesele wielkie ogarnia zapadła w kotlinie wioszczynę i słońce, dawny sprzymierzeniec ludzi, w radość ubiera twarze, sposępniałe długą zimą i zasuszone chrześcijańskim postem.

Po chatach siedzą ludzie, jak polne norniki. Tylko dym, pnący się z dachów sinymi wężykami ku górze, zdradza, że przy śniadaniu, kto żywnie chce i może, nabrał krzepi się przy uroczystem święcie na cały boży dzień.

Na polach ptaństwo rozkłada gospodarstwo swoje i białość słoneczna chodzi po wdmach skalistych, zresztą nikt... Spokojnie i cicho.

Słońce stanęło już nad szczytem wysokiego Turbacza, kiedy z najdalszego zakątka wioski poczęli sypać się ludzie. Najpierw jedna postać, skulona, owinięta białą „lokutuską”, utyka po kamienistej drodze, wiodącej zygzakowo koło wody na dół. Sunie schyłona, biała, koścista, jak „śmierć”... „Pobożne babsko” — jak ją zwią — „nigdy nie ominie różańca”.

Za nią po dwoje, troje i więcej szarych postaci wylazi z poza opłotków na drogę. Niezadługo kamienisty zjazd zaroił się różnokolorowym tłumem. Gromadki mniejsze i większe mijają się, schodzą i giną wśród zabudowań przydrożnych, by wypłynąć za chwilę na czas niedługi, póki ich drzewa najbliższego osiedla nie zakryją.

Na ramieniu każdego kołysze się cienka, w czerwone wstążeczki przybrana habina: z każdej wykwitają gęsto miękuchne, srebrzyste bazie...

W świątecznym usposobieniu rozgwarzył się wesoło idący lud. Powszedniość smutków i utrapień znikła z jego twarzy, a jeżeli nie uleciała, to skryła się gdzieś głęboko, na dno serca. Nie poznać, że wczoraj był tym samym ludem.

Chichoczą hałaśliwie młodzi, śmieją się cicho, dobrodusznie starzy, jakby ich wszystkich owładnęło szczęśliwe zapomnienie życia...

— W jakie to pędy Józka leci! — zaśmiał się jeden z parobczaków, wskazując habiną na dziewczynę, wyprzedzając inne.

— Nie dziwota, — zauważył jeden ze starych. — Bedzie w kościele ścisk, bo wielgie święto. Chciałaby się przed ontarz dostać...

— Coby jej naprzód poświęcili!

— Juźci! Bo tam ino na nią czekają z kropidłem...

— Tatusiu! Bedzecie koszyki robić z poświęconych pręci, czy co? — zagadnął jakiś parobczak, przedrwiwając chłopinę mizernego, który dźwigał na ramieniu cały pęk bazi.

Chłopina uśmiechnął się, nie wiedzieć, jak...

— Czy, czy to inno...

Wyjąkane słowa zginęły w chórze śmiechu.

— Baziu, baziu meee... — krzyczy jeden z chłopaków, naśladując jagnię, i ucieszony, jakby go kto samym miodem napasł, przeskakuje drobne kamienie.

— Ja gdowiec: wyście gdowa — tłómaczy jakiś podeszły gazda kobiecie, obok idącej.

— Pobiermy się na wołę boską i bedziemy pchać jako tę biedę kolanami przed sobą...

— A co się ma stać, to się stanie! — wypadło z gwarliwej gromadki.

— Pomału-że, moja Kasiu! — woła rosły chłopak, śmigając w powietrzu habiną.

Trzy Kasię naraz obejrzały się, co wywołało w gromadzie nowe śmiechy. A „ta czwarta” ani spojrziała okiem, choć dobrze wie, że na nią wołał:

— Cicho! sygnują!...

Naraz ustały śmiechy.

Ludzie przyśpieszyli kroku. Lekka pogwarka zmieniła się w urywane, gorączkowe zdania. Wszystkim dzwoni w uszach i jęczy głos wołającej sygnaturki.

Wnet zeszedli na ławy i pod kościół, gdzie już tłumy pchały się wąską bramą i zalewały kolisty cmentarz kościelny, otoczony niskim murem. Mały kościółek pomieścił zaledwie część zgromadzonego ludu.

Pozostały tłum szeroką ławą obiegł kościół dookoła i stoi, rozmodlony, w słońcu... Stoi cicho, w skupieniu, skąpany jasną białością wiosennych promieni.

Gdy przez drewniane ściany wypadnie stłumiony głos dzwonka od ołtarza — tłum chyli się i klęka, a z nim porusza się falą gęsty las wierzbowych pręci...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-bazie/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, Planety, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).